

Akty - czy pasy w iści?

W dobre rady jestem zaopatrzona na całe życie — wyznała kiedyś supereloquentna Hanka Bielicka. A propos tematu, który zamierzam poruszyć, chciałoby się rzec: w aktywistów jesteśmy tak zasobni, że starczy ich chyba na całą drogę „ku”...

Mamy ich tak wielu, że aż zastanawiające się staje, dlaczego wobec tego jest u nas nie tak dobrze, jakby się tego spodziewać można, sądząc po liczbie ich aktywistów i dlaczego to o konieczności uprzątnięcia śniegu przypominają musiał niedawno braciom Polakom sam Władysław Gomułka.

Mówiąc prosto z mostu: wydaje się, iż nie brakuje nam aktywistów malowanych, tytułowanych, usiłujących zajmować miejsce w jednym szeregu obok aktywistów z prawdziwego zdarzenia. Z biegiem czasu w ferworze naszej roboty społecznej ukształtowały się nawet pewne odmiany owych aktywistów w cudzoziemcu. Z grubsza biorąc dają się ich sklasyfikować w trzech grupach:

do pierwszej zaliczyłbym osobników, starannie dobierających sobie funkcje społeczne według kryteriów; byle godnie brzmiąca i... mało absorbująca;

drugą stanowią tzw. wielbiący, ale wielbiący „świadczone”, czyli przyjmujące z premedytacją na swe barki nierealną liczbę funkcji społecznych — po to właśnie, by móc w organizacji ABC zastąpić się nawzajem zajęć w organizacji DEF i vice versa;

trzecią, to obrotne indywidua, gotowe do podejmowania rozmaitych obowiązków na zasadzie słynnego hasła PKP: kolej tobie — ty kolei.

Wspólne u zwolenników wymienionych grup jest swoiste podejście do proponowanych im zadań społecznych. Ambitnie brzmiące określenie „aktywista” wiąże się — można by sądzić — z aktywnym stosunkiem do spraw, do życia. Aktywistę powinno więc cechować rozsądne zainteresowanie sferą zadań społecznych, której zdecydował się poświęcić. Inaczej mówiąc, w aktywistę na ogół widzi się człowieka, gotowego podejmować takie czy inne obowiązki dla dobra interesu społecznego, człowieka, podchodzącego z reguły pozytywnie do czekających go trudów. Nie znaczy to, by aktywista nie miał zgłaszać uwag, czy zastrzeżeń, wobec przydzielanych mu zadań; w przeciwnym przypadku nie byłby aktywistą, lecz biernym wykonawcą poleceń. Jednakże cechą charakterystyczną ofiarnego członka takiej czy innej organizacji powinno być właśnie owo konstrukttywne podejście do społecznej roboty.

Nie mają go aktywiści „malowani”. Oni do proponowanych im zadań wychodzą od strony negatywnej; nie starając się znaleźć możliwości pogodzenia rozlicznych obowiązków — wysuwają na plan pierwszy trudności, pogrążając je w niewygodnej, a nawet nie do zaakceptowania „aktywności” co najmniej wytarłowatej ulgoty termin wykonania zadania, może ograniczenie ich rozmiarów, bądź nawet uznanie ich za nieaktualne.

Mówiono kiedyś, że przeszkody są po to, by je pokonywać. Nie bardzo przekonująco to brzmiało. Ale nie jest chyba rzeczą właściwą aranżowanie spłotu trudności, gdy ich nie ma, lub wyolbrzymianie tychże przy użyciu wyobraźni.

Gdzieś tam na Centralnych Łamach toczy się Wielka Dyskusja, wywołana książką Zbigniewa Żalutskiego „Siedem polskich grzechów głównych”. Spór dotyczy w jakimś stopniu modelu współczesnego Polaka. Chodzi o to, jakich obywateli krajowi potrzebują.

Pasywistów na pewno nie.

W zasadzie cała prawie beletrystyczna twórczość Dobraczyńskiego przypada na lata powojenne i stoi w niewątpliwym związku z działalnością autora w Stowarzyszeniu Pax. Napisałem „W zasadzie”, bo napisała przed wojną, w latach 1935—1936, i nagrodzona na konkursie Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu powieść „Ottomowa obietnica” zniszczona została przez Niemców w drukarni św. Wojciecha, tak że po wojnie ukazały się tylko jej ocalałe fragmenty. Uniknęła natomiast zagłady powstała w 1937/38 powieść „Dwa stosy”. Ukazała się ona w Panteonie w roku 1947. Nie była to jednakże pierwsza publikacja beletrystyczna: w roku 1946 Czytelnik drukuje „W rozwalonym domu”, a w rok później, wraz z „Dwoma stosami”, wchodzi na rynek „Szata godowa” i „Najeżdźcy”.

Natomiast wcześniej dał się Dobraczyński poznać jako publicysta i krytyk literacki. Do niektórych szczegółów tej strony twórczości autora „Dwu stosów” będzie jeszcze okazja wrócić. Na razie dla porządku bibliograficznego odnotujmy, że w 1937 ukazał się essay „Bernanos — powieściopisarz”, a w dwa lata później — studium o Papim pt. „Lawa gorejąca”.

Cała twórczość Dobraczyńskiego, od „Dwu stosów” do opublikowanej w roku 1961 fantastycznej powieści „Wyczerpać morze” ma pewien wspólny mianownik: jest nim deklaracja katolika dla podstawowych haseł postępu społecznego. Rozmyślnie używam sformułowań „hasło”, „podstawowy”, „deklaracja”. Nie kwestionując czystości intencji autora, zwracam w ten sposób uwagę na ich powierzchowność, co nie jest zarzutem natury etycznej ale raczej artystycznej. W „Przyszedłem rozłączyć” autor angażuje się po stronie chrześcijaństwa „środków ubogich” przeciwko nadużywaniu religii dla celów tego świata. W „Dwudziestego brygadzie” atakuje rasizm, „Niezwykła armada” to kostium historyczny koegzystencji katoliz-

mu i państwa niekatolickiego, ks. Leon (w „Drzewach chodzących”) to jeden z niewielu w literaturze księży-patriotów, „Kościół w Chocholowie” to znów chwilami gorzki obrachunek z sytem i zapobiegliwym klerem. Ostatnia wreszcie powieść „Wyczerpać morze” — to fantastyczny wizja zagłady świata i zagłady Kościoła jako organizmu politycznego. Czy to mało? Przeciwnie, aż za wiele. Tak wiele, że budzi to nieuf-

WIZERUNKI POLSKICH PISARZY KATOLICKICH

Pod takim tytułem za kilka miesięcy ukażą się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego szkice poznańskiego naukowca i krytyka docenta UAM, dr. Jerzego Ziomek. Autor zajął się twórczością pięciu najbardziej znanych i popularnych pisarzy katolickich: Jana Dobraczyńskiego, Antoniego Gołubiewa, Zofii Kossak, Hanny Malewskiej i Jerzego Zawieyskiego. Wszystkich ich zaliczył do literatury katolickiej na podstawie samookreślenia. Szkice, których pewne fragmenty zaczynamy dziś publikować, są opracowaniem, jak powiada autor „na temat artystycznych skutków owego samookreślenia”. Wielka skrótość tych fragmentów nie odzwierciedla oczywiście w pełni poglądów autora, za co przepraszamy zarówno jego jak i czytelników. Dzisiaj — o Janie Dobraczyńskim.

ność. Postępowe i szlachetne deklaracje Dobraczyńskiego nie wynikają ze struktury fabularnej, ale są jej nadbudówką, tworzą z fabułą nie związki, ale mieszaniny, lub — może lepiej powiedzieć — emulsje: jeśli przed użyciem nie wstrząsnąć i nie zmącić, ciężki osad oddzieli się od płynnej substancji. Twórczością autora Najeżdźców „potrząsali” recenzenci dość często. Jedni w gniewie, drudzy w bezmyślnym zachwycie. Spróbujmy więc postawić naczynie zwane Dobraczyńskim spokojnie na półkę i dłuższą chwilę, dłużej niż to się robi w krótkiej do-raznej recenzji, obserwować zachowanie zawartości. (—)

Zostawmy na boku szczegółowe interpretacje i... aneksy. Przyznajmy, że Dobraczyński wie, czego chce i że te założenia konsekwentnie realizuje. Tylko że w praktyce Dobraczyńskiego realizacje założen literatury wewnętrzno-katolickiej sprzeczają się do tworzenia zewnętrznej ornamentyki religijnej. Ta ornamentyka jest u Dobraczyńskiego przede wszystkim liturgia, w istocie swej skonwencjonalizowana i jednoznaczna. Bohaterowie Dobra-

czńskiego przeżywają religię poprzez uczestnictwo w aktach sakralnych. To może jeszcze nie zarzut. Ale jak przeżywają! Język i styl rodem z ckiego romansu odbiera tym przeżyciom wszelką dyskreję, równa je z tanimi doznaniem fizycznymi. (—)

Tymczasem krytyka katolicka jest dziwnie bezkrytyczna w stosunku do Dobraczyńskiego, żeby nie powiedzieć prościej: sekciarska. Z wyjątkiem Lichniaka i Starowieyskiej-Morstinowej recenzenci zwykli zachłystywać się zachwyty dla znakomitej sztuki pisarskiej Dobraczyńskiego. Nikogo spośród zgodnych prawie chór entuzjastów nie raz i to nadużywanie imienia Boskiego nadaremno, to przekonanie o autorytetnym działaniu miejsc i osób związanych z kultem religijnym. (—)

Powiedziałem, że krytyka katolicka nie reagowała na niestosowność owego liturgicznego fetysyzmu; nie zauważyła, że nadużywanie imienia Boskiego jest łamaniem nie tylko jednego z dziesięciorga przykazań, ale i elementarnego przykazania dobrego smaku. Mógłbym ten zarzut wobec krytyki katolickiej ograniczyć pod warunkiem, że zaliczymy do niej Wojciecha Zukrowskiego. Nie wiem, czy to jest kwestia taktu literackiego czy taktu religijnego, ale jeden jedyny Zukrowski zaatakował zdecydowanie pewną scenę w „Szacie godowej”. (—)

Praktyka pisarska, w szczególności praktyka powieściopisarska bardzo ostro weryfikuje tego rodzaju „filozofię”. O używaniu cudownej potywaru w powieści katolickiej pisałem już w tym tomie wiele, dowodząc, że w odwoływaniu się do zjawisk nadprzyrodzonych wyraża się nie tyle głęboka wiara pisarza, ile niedowład artystyczny i — przede wszystkim — z teologicznego punktu widzenia — niebezpieczne zadufkostwo. Wprawdzie u Dobraczyńskiego nigdzie nie spotykamy cudu w jego jawnej postaci, obowiązuje cudu pełni bowiem u niego nadzwyczajny zbieg okoliczności. Ta forma taumatycznego myślenia jest może jeszcze bardziej drastycznym przykładem artystycznej nielojalności wobec czytelnika niż otwarte posługiwanie się zjawiskami nadprzyrodzonymi. Nadzwyczajny zbieg okoliczności zachowuje bowiem wszelkie pozory realistycznej poetyki i nie konkretny przypadek, ale dopiero ich ilość wydaje się podejrzana, bo zaczyna „przechodzić w bylejakosć”.

MARIAN FLEJSIEROWICZ

Półśrodki nie wystarczą
BUDUJMY TANIEJ!

Zgodnie z intencją Uchwały Rady Ministrów nr 17 z 15 stycznia 1963 r., 30 procent izb z miejskiego budownictwa mieszkaniowego w 1964 r. i 40 procent izb w 1965 r., ma być wykonanych o 20 procent taniej. To znaczy, że w pierwszym roku liczba wybudowanych izb mieszkalnych może dzięki oszczędnościom wzrosnąć o ponad 23 000, a w drugim roku — o około 35 000 w stosunku do ustaleń planu 5-letniego. Są to założenia realne, choć diablo trudne, jeżeli się zważy, że w roku 1962 nie wykorzystano na budownictwo mieszkaniowe bez mała 2 miliardów złotych! Powodem był tzw. niedobór mocy przerobowych przedsiębiorstw.

Tu i ówdzie przeprowadzono już eksperymenty. Przeanalizowano je i stwierdzono — co jest bardzo istotne — że przy odpowiednim projektowaniu można obniżyć koszt budowy do wielkości, wskazanych uchwałą Rady Ministrów bez obniżania wartości użytkowej mieszkań. Ale na przemysłowych projektach nie kończą się możliwości oszczędzania. Ważne zadania stoją też przed inwestorami, a przede wszystkim — przed wykonawcami: przedsiębiorstwami budowlanymi. Te ostatnie są, nie ukrywajmy, w bardzo trudnej sytuacji.

Eksperymenty i analiza wykazały, że w tzw. budownictwie oszczędnym 48,4 proc. kosztów przypada na wartość stanów surowych budynków, a reszta na prace wykończeniowe. Jeżeli więc chcemy zrezygnować ze zmniejszania standardu mieszkaniowego, trzeba oszczędzać głównie na kosztach stanów surowych. Tymczasem obecne ceny, zakładające wysoką akumulację dla przedsiębiorstw wytwarzających prefabrykaty oraz dla sprzętu montażowo-budowlanego, powodują, że budow-

nictwo tradycyjne, mimo większego zużycia materiałów i mimo większych kosztów robocizny, jest nadal tańsze niż budownictwo uprzemysłowione.

Przedsiębiorstwa, chcąc budować taniej, będą więc zdradzały tendencje do stosowania tradycyjnych metod. Ale czy takim sposobem zaoszczędzą 30—40 procent na kosztach stanów surowych? Na pewno

„Budujmy taniej!” — tak brzmiał tytuł artykułu Mariana Flejsierowicza, który opublikowaliśmy w noworocznym „Głosie Tygodnia”. Treść artykułu obracała się wokół poszukiwania źródeł oszczędności w budownictwie mieszkaniowym. W związku z tą publikacją wydrukowaliśmy obszerną wypowiedź mgr. inż. arch. Jerzego Buszkiewicza. Nadesłali też listy dwaj inni Czytelnicy podpisujący się inicjałami BM i XX. Niestety, anonimów (o czym nieraz informowaliśmy) redakcja nie wykorzystuje. Dzisiaj jeszcze raz wracamy do problemu taniego budownictwa.

nie. Grozi więc obniżanie standardu. Założmy jednak, że „wycisną” wszystko, co się da i — zaoszczędzą. Czy znajdą czas, inaczej — „mocy przerobowej” na wybudowanie dodatkowych izb za zaoszczędzone pieniądze? Cudów, proszę państwa, nie ma. No bo jeżeli w ubr. nie zdolały „przebrać” 2 miliardów złotych, nie ma powodu przewidywać polepszenia sytuacji. Przeciwnie, suma niewykorzystanych pieniędzy zwiększy się o te zaoszczędzone. Tymczasem sens i idea taniego budownictwa polegają na tym, aby za te same pieniądze wybudować więcej domów, mieszkań, izb.

Sprawą o kapitałowym znaczeniu jest więc taka polityka cen, żeby

budownictwo przemysłowe, pozwalające postawić więcej domów, było tańsze od tradycyjnego. Jeden z posłów, podczas dyskusji w sejmowej Komisji Budownictwa i Gospodarki Komunalnej powiedział, że poważne oszczędności uzyskać można przez zastąpienie materiałów drogich, tradycyjnych, materiałami tańszymi, zastępczymi, a przede wszystkim przez szerokie wykorzystanie chemii (płyty podłogowe, urządzenia wodno-kanalizacyjne, sanitarne itp.). Oczywiście, nasz przemysł nie może w tej chwili zaspokoić wszystkich tych potrzeb, lecz za kilka lat trudności powinny zniknąć.

Ale zanim to nastąpi, trzeba szukać innych możliwych źródeł oszczędzania. Pierwsze słowo mają inwestor i projektant. Pisaliśmy o tym obszerniej już poprzednio. Warto jednak zwrócić uwagę na powierzenie projektowania tańszych domów (tańszych — ale wcale nie gorszych!) najlepszym specjalistom. W tym bowiem roku będzie dość jeszcze czasu na przygotowanie, próby, eksperymenty, obliczenia. W ich toku może się okazać, że potrzeba więcej materiałów zastępczych (np. podłogowych) i że przemysł będzie musiał ich produkować więcej niż dotychczas.

Ostatnie słowo w realizowaniu uchwały Rady Ministrów należy jednak do wykonawcy. Tutaj trudności będą jeszcze poważniejsze. Dopóki bowiem wykonawca nie otrzyma odpowiednich materiałów i urządzeń, dopóki system cen nie sprawi, że budownictwo przemysłowe stanie się tańsze od tradycyjnego — dopóty oszczędności będą albo za małe, albo wręcz fikcyjne. Prawda, że wielkie rezerwy tkwią jeszcze w organizacji pracy przedsiębiorstw, w usprawnianiu transportu na trasach: producent materiałów budowlanych — przedsiębiorstwo budowlane i baza przedsiębiorstwa — budowa. Dużo jeszcze można usprawnić przez większe zmechanizowanie robót na budowie tradycyjnej, zwiększając równocześnie zdolność produkcyjną przedsiębiorstw. Ale mimo wszystko to są tylko półśrodki, stwarzające w konsekwencji groźbę szukania oszczędności w obniżaniu standardu mieszkań. A tego chcemy przecież uniknąć.

TADEUSZ KORZENIOWSKI

TRUDNOŚCI WZROSTU

Od 80 do 90 tysięcy odczytów rocznie odbywa się w rozmaitych placówkach w całym kraju. Gromadzą one rokrocznie ponad milion słuchaczy. Instytucje zajmujące się działalnością odczytową zasypywane są prośbami nadsyłanymi ze wszystkich zakątków o zorganizowanie prelekcji pojedynczych lub też całych cykli wykładów.

Świadczy to o narastaniu potrzeby jak najbliższego kontaktu ze światem nauki, kultury i sztuki, o rozbudzanych, coraz wszechstronniejszych zainteresowaniach. Społeczne zapotrzebowanie na dobre prelekcje wzrasta nieustannie i stawia działaczy terenowych ogniw

REFLEKSJE PRELEGENTA

związkowych, organizacji młodzieżowych, kierownictwo świetlic i domów kultury, a także instancje partyjne wobec konieczności nadania temu zapotrzebowaniu konkretnych kierunków. Ośrodki centralne i wojewódzkie biorą na siebie ciężar kontaktów z ludźmi, którzy mogliby występować jako prelegenci, a jednocześnie przygotowują pod postacią specjalnych wydawnictw materiałów pomocniczych, mogące służyć różnorodnym środowiskom odbiorców. Opracowują one również szereg zestawów tematycznych, wysuwają sugestie zajmowania się w publicznych odczytach i dyskusjach określonej, najbardziej aktualnej tematyką.

Zadanie to olbrzymie, jeśli się weźmie pod uwagę wielką różnorodność zainteresowań i szczupłość kadry potencjalnych i czynnych prelegentów, a także stosunkowo niewielkie środki materialne, które są do dyspozycji. Przyrodzoność i fizyka jądrowa, problemy wychowawcze i społeczne, filozofia najnowsza i filozofia klasyczna, polityka międzynarodowa i sytuacja ekonomiczna Polski i świata, kultura życia codziennego i problemy światopoglądowe — trudno wymienić cały zakres i wszystkie dziedzinę interesujące słuchaczy.

Moje osobiste doświadczenia dotyczą stosunkowo wąskiego zakresu — problemów związanych z filozofią, socjologią i problematyką światopoglądową, ale też na tym właśnie odcinku, stosunkowo trudnym, zaobserwować można pewne procesy,

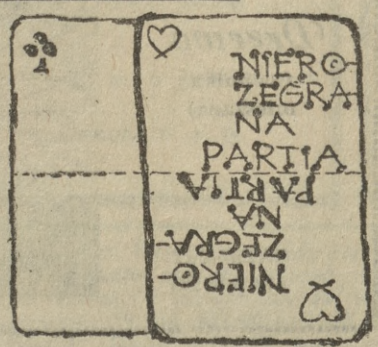
Jest to fragment współczesnej powieści psychologiczno-obyczajowej pt. „Spowiedź Lucjana Skobiela”, której akcja — w swych zasadniczych partiach — rozgrywa się w Poznaniu. Powieść ta ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

Tak, życie mu się w tamte miesiące dawalo we znaki, ukazywało od nowej, dotąd nieznannej strony. Inni mniej jakoś narzekali w tej studenckiej spółdzielni, bardziej byli odporni, uważali, że tak jest w porządku, może on tylko miał piekielne szczęście, by coraz się słyszał z upokorzeniami? Chętnie witali zgłoszenia o czwar-

tęgo do brida. Nie naharali się człowiek, można było trafić na towarzysztwo z sensem, było co nieco do jedzenia i do wypitki, ani równać z jakimiś tam porządkami, a forsą od godziny leciała ta sama. Raz zgłoszeń nie było jednakże wiele. Tych wypadł bridaż u emerytowanego sędziego, pozostawiając

Ciąg dalszy na str. 2

Dokończenie na str. 2



TRUDNOŚCI WZROSTU

Dokończenie ze str. 1

związane z jednej strony ze wzrostem zainteresowania odbiorców, z drugiej strony z kształtowaniem się — w toku doświadczeń — określonych metod pracy prelegentów. Tu właśnie — w działalności światopoglądowej, ideologicznej — wychodzą na jaw zupełnie specyficzne trudności, od których przełamania zależy w znacznym stopniu powodzenie i ukierunkowanie całej działalności odczytowej.

Nie wszyscy jeszcze zdajemy sobie w pełni sprawę, że dobry prelegent, reprezentujący na przykład tak zwany ruch laicki, stał się pożądanym i skutecznie oddziałującym w szerzeniu idei racjonalistycznych, że jego działalność ma w coraz mniejszym stopniu charakter doradztwa propagandowego, wzrasta natomiast jego rola jako inicjatora konstruktywnego fermentu myślowego. Jakże często dla niewyrobionych jeszcze słuchaczy kontakt z kompetentnym prelegentem stanowi początek twórczego procesu usamodzielniania się własnego sposobu myślenia, punkt wyjścia poszukiwań własnego stosunku do świata.

Jedną z trudności, napotykanych przez prelegentów, jest słabe stosunkowo przygotowanie kierowników odpowiednich placówek. W wielu przypadkach nie potrafią oni określić konkretnie zapotrzebowania swego środowiska. Wychodzą po prostu z założenia, że każdy dobry odczyt będzie się cieszył powodzeniem. Z tej nieznajomości rzeczy wynikają bardzo często najdziwniejsze w świecie propozycje, kierowane pod zupełnie niewłaściwym adresem, propozycje tematów zbyt łatwych lub zbyt trudnych, „ustawianie” prelegenta, który już jest na miejscu, ostrzeżenie go przed wszystkimi — często nieistniejącymi w rzeczywistości — trudnościami, jakie może rzekomo napotkać w kontakcie z salą.

Technika organizowania audytorium bywa często zupełnie przypadkowa. Nieraz prelekcja na temat, wymagający powiedzenia 2 do 3 godzin, ma być wtłoczona w jednogodzinną przerwę w obradach jakiegoś zjazdu czy konferencji, która w zasadzie zajmuje się zupełnie innymi sprawami. Spełnia ona wtedy rolę swego rodzaju „wstawki” i zazwyczaj tylko pewien procent słuchaczy wynosi ze spotkania korzyść. Byłem na przykład świadkiem tak zwanej konferencji terenowej nauczycieli, zebranych z całego powiatu, do której „doczepiono” odczyt na temat współczesnej filozofii chrześcijańskiej. Audytorium zupełnie nie przygotowane, organizatorzy zapowiadają publicznie, że „dyskusji nie przewiduje się ze względu na ograniczony czas” i że „w ogóle” temat nie bardzo pasuje do problematyki konferencji. Prelegent, postawiony w

NIEROZIEGRANA PARTIA

Ciąg dalszy ze str. 1

stali partnerzy takie same gruchoty, ale wspominał wieczór raczej przyjemnie. Poem długo nie było podobnej okazji. Aż wreszcie nadpłynęło zgłoszenie od właścicielki największej trafiki w śródmieściu. Potrzebny czwarty do bridża. Na ósmą wieczorem w sobotę.

Mieszkanie wielkie jak szopa, mieszczący luksus. Właścicielka gdzieś tak pod piątą krzyżyk, choć bardzo zadbana. Przypatrywała mu się uważnie, uśmiechała się coraz cieplej. Wielki salonik, stółki brązowe, karły, popielniczki, róża w kryształowym flakonie, zapach ostrej perfumy.

— Radcostwo dzwonił, że przyjdą z opóźnieniem. Musimy zacząć. Bardzo mi przykro — usprawiedliwiała się częstując papierosami. Spojrzała, angielskie. Któż je miał mieć, jeśli nie właścicielka potężnej trafiki?

Gospodyni siedziała naprzeciw z nogą swobodnie założoną na nogę. Przypatrywała mu się uporczywie i z wyraźnym zadowoleniem. Początkowo czuł się tym skępowany, gdy jednak przyniosła koniak i wypił ze dwa kieliszki, zainteresowanie kobiety zaczęło go bawić. Z nudów pozwolił sobie na jedno i drugie powłóczyście spojrzenie. Stała w wypiekach. Westchnęła coś, zrozumiał, że nie żałuje spóźnienia radcostwa. Spojrzała na zegarek, było już po dziewiątej.

takiej sytuacji, wypowiedziawszy, co mu w jego ośrodku macierzystym zlecono, ucieka jak zmyty, z uczuciem głębokiego niesmaku.

W innych przypadkach cała sprawa puszczona jest „na żywioł” i wtedy się zdarza, że temat dostosowany do potrzeb i poziomu masowego słuchacza gromadzi zaledwie kilka osób w jakimś, z innych przyczyn, względom, świecącym pustkami powiatowym czy wojewódzkim Domu Kultury. Zdarzało mi się, że temat trudny, mogący zainteresować wyłącznie dorosłych i to jako tako przygotowanych słuchaczy, wygłaszałem z winy organizatorów przed zaledwie dorastającą młodzieżą. Prelegent, postawiony wobec takiej nieoczekiwanej sytuacji, musi często w ostatniej chwili — bądź zmieniać temat odczytu bądź modyfikować go, co oczywiście wpływa ujemnie na poziom prelekcji i powoduje często zawód przeżywany przez słuchaczy.

Jeśli miał się opowiedzieć za prelekcjami organizowanymi schematycznie „w ramach” jakiejś zgoda odmiennej imprezy, gromadzącej ludzi masowo, ale pod innym kątem zainteresowania, lub też za „żywiołowym” rozwiązaniem — to odrzuciłbym obydwie. Prelekcja, zwłaszcza na tematy światopoglądowe, musi być imprezą „autonomiczną”, musi

Zauważyła to, zaproponowała, że skróci czekanie małą przekąską. Usiadła tuż przy nim. Przekąski były świetne, wódki niemieckiej. Pani domu piła i śmiała się jakoś nienaturalnie. Wyglądała na podnieconą. Chichotał w duchu, że, w starej babie diabeł pali, ale już go zaczynała denerwować ta sytuacja. Co z radcostwem?

Wrócili do saloniku. Gospodyni zgasiła górne światła, została tylko stojąca lampa przy stoliku brązowym. Zaczęło mu świtać w głowie.

— Pewnie nie przyjdą... radca ma nieraz nagłe obowiązki... Ale ja nie żałuję, pan jest bardzo miły — przysunęła się bliżej z fotelem, rozlewała koniak, dobry, francuski, znała markę.

Jeszcze był ubawiony, gdy przysuwając kieliszek położyła rękę na jego dłoń, trwało to dłuższą chwilę. Udał, że nie dostrzega, jak zetknęły się ich kolana. Koniak wypijał bezczelnie, babsko pewnie się nie domyśla, jak mocną ma głowę.

Oprzyłomiał, gdy przysiadła na oparciu zajmowanego przez niego fotela. Przesunął się w przeciwny kąt mebla. Zauważyła to, zaśmiała się.

— Pan jest bardzo miły — szepnęła, rozciągając w nieskończoność to „bardzo”.

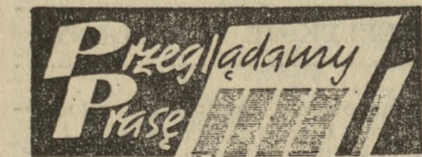
Ramię kobiety zbliżyło się, dłoń przegładziła jego czuprynę. Miał tego dosyć. Czyż to stare pudło myśli, że się z nią położy do łóżka, że w zarobkowej spółdzielni studenckiej można żądać i takiej przysługi? Słyszał, zda-

gromadzić ludzi wyłącznie zainteresowanych, ale jednocześnie powinna być przygotowana, spopularyzowana zawczasu wśród potencjalnych słuchaczy.

Fatalne w skutkach okazuje się organizowanie odczytów i dyskusji tylko po to, żeby je „odfajkować” w odpowiednim sprawozdaniu. Efektu są wtedy czyste „statystyczne”. Groźny bywa też nieprzemysłany zapał organizatorów, którzy — nie mając dokładnego rozeznania w sytuacji — starają się eksploatować wielokrotnie jakiegoś prelegenta, którego miejscowa publiczność słuchała chętnie raz czy dwa.

Zapotrębowanie słuchaczy jest w tej mierze olbrzymie i nieustannie wzrasta. Rozsądnie prowadzona praca światopoglądowa łączy się ze znacznie szerszymi działaniami wychowawczymi i politycznymi. Trudności, które wymieniałem (i te, których nie zdołałem tu wymienić) są trudnościami wzrostu, wynikają z niedostatecznego jeszcze doświadczenia i zwłaszcza w ostatnim okresie występują coraz rzadziej, w każdym razie nie są w stanie ani zahamować ani ograniczyć wzrastającego nieustannie znaczenia i zasięgu prelekcji światopoglądowej.

TADEUSZ KORZENIOWSKI



Konkrety wielkopolskiego TK

W najnowszym numerze „Polityki” poznajemy krytykę i działacz kulturalny — Feliks Fornalczyk publikuje artykuł pt. „Konkrety”, poświęcony dorobkowi i zamierzeniom Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego.

„Program przedstawiony przez komisję w łonie WTK powołano 7 komisji, które przygotowały program działania na cały rok — dop. Lektora) stały się podstawą dla szczegółowego opracowania planu działalności Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego (...) Zakłada on rozwijanie działalności w trzech zasadniczych kierunkach: realizacji zadań Towarzystwa z pomocą istniejących placówek kulturalnych, organizacji ogniw powiatowych WTK oraz gromadzenia funduszy”.

Na temat tego ostatniego zadania autor stwierdza między innymi, że „gdyby każdy z 3000 zakładów przemysłowych istniejących w Wielkopolsce — zadeklarował tylko tysiąc złotych rocznie, powstałaby z tego suma 3 mln. zł. Można by dzięki niej niemało zrobić.”

Dyrektor „Cegielskiego”

„Nowa Kultura” rozpoczęła druk cyklu pt. „Ludzie 20-lecia”. Pierwszą pozycją jest reportaż Roberta Jarońskiego pt. „Dyrektor” o naczelnym dyrektorz Zakładów Przemysłu Metalowego „H. Cegielski” — Władysławie Kosiurze. W pierwszych zdaniach autor tak ujmuje sylwetkę tytułowej postaci:

„Człowiek chłodny, wymagający, apodyktyczny. Potrafi być czasem subtelny i miły. Krytykę przyjmuje ciężko, gwałtownie, ale nie mści się. Kiedy się za-

galopuje w krytyce innych, znajduje sposób na wycofanie się i przeproszenie. Można mu zaufać (...) Bierze na siebie odpowiedzialność za to, co się nie udało. Oto skrót opinii ludzi stykających się z naczelnym dyrektorem „Cegielskiego” w świątek i piątek”.

Ale „od siebie” autor znacznie głębiej i wszechstronniej charakteryzuje dyrektora:

„Kosztuj to człowiek formujący się w działaniu. Od 1945 roku poprzez ZWM, partię, szkołę, pracę, studia i kilkunastoletni okres ponoszenia ciężkiej odpowiedzialności za tysiące ludzi, miliony pieniędzy, napięte terminy wielkiej produkcji — znajduje się pod nieustannym naciskiem i inspiracją czynu”.

Reporter ukazuje drogę W. Kosiury do stanowiska dyrektora, pisze też o jego życiu prywatnym. Dobry reportaż — radzimy przeczytać.

Budownictwo mieszkaniowe

Na łamach „Tygodnika Demokratycznego” Krystyna Golańska publikuje artykuł o budownictwie mieszkaniowym pt. „Tanio, dobrze, wygodnie”. Tematem jest tak zwane budownictwo oszczędnościowe. Jednym ze źródeł oszczędności w budownictwie jest stolarka, której koszty stanowią prawie 1/4 ceny budynku. Chodzi tu o podłogi z tworzyw sztucznych, nie wstawianie drzwi do pokoju (można to zrobić potem własnym kosztem), pozostawienie miejsca na szafy ścienne, półki i laby kuchenne.

Pisaliśmy już nieraz o tych sprawach i piszemy również dzisiaj — na poprzedniej stronie. Problem taniego budownictwa mieszkaniowego jest przecież bardzo ważny. Efekty oszczędzania mają być wykorzystane na wybudowanie dodatkowych, zaplanowanych mieszkań.

Decyduje organizacja

...to tytuł artykułu Wiesława Szynclera-Głowackiego w „Życiu Gospo-

darczym”. Autor rozwija tezę, że kłopoty związane z przyrostem inwestycji i niedostatkiem organizacji nie rozwiążemy dopóty, dopóki nie spełni się najważniejszy warunek: trwałe zainteresowanie przedsiębiorstw wynikami ekonomicznymi.

„Wydatność pracy w budownictwie czy górnictwie — mimo olbrzymich postępów mechanizacji podczas ostatnich kilkunastu lat — jest czasem nawet... niższa, aniżeli ćwierć wieku temu. Np. w budownictwie straty czasu robotników sięgają 30—40 proc., a czasu roboczego maszyn — nawet 50—90 proc.”.

A więc w parze z nakładami inwestycyjnymi muszą iść organizatorskie poczynania, co niestety, natrafia na powszechną niemal atmosferę niezrozumienia i niechęci. Znacznie przecież łatwiej starać się o inwestycje, które przedsiębiorstwo „nic nie kosztują” (nakłady ponosi państwo) niż usprawnić organizację pracy, co wymaga sporego, rzetelnego i wszechstronnego wysiłku.

Mity urbanistyki Warszawy

W związku z toczącą się na łamach „Przeglądu Kulturalnego” dyskusją architektoniczno-urbanistyczną głos w tym tygodniu zabiera Stanisław Jankowski w artykule pt. „Mity urbanistyki Warszawy”. Zdaniem autora dwa mity są szczególnie powszechne: że mieszkanie jest główną treścią śródmieścia i że w śródmieściu są nadal rezerwy terenowe. Jankowski polemizuje z tymi mitami twierdząc, iż treść warszawskiego śródmieścia sprowadza się przede wszystkim do funkcji usługowo-kulturalnej, pracy komunikacji; dopiero w następnej kolejności idą mieszkania. Twierdzi też, iż w zatwierdzonym planie śródmieścia już obecnie nie ma rezerw.

LEKTOR

rzali się utrzymankowie starszawych panów, za pomoc w studiach — miłość, a to i zobowiązanie ożenku. Pozwilnie, przy tej trafice los mógłby być wcale dogodny. Obrzydliwe babsko. Jak to sobie wykombinowała z bridżem i niepunktualnym radcostwem. Dawno trzeba było się wycofać.

— Pani daruje, radcostwo, zakpił — na pewno nie przyjdą. Te nagłe obowiązki pana radcy; jestem więc niepożrebny. Pozwoli pani, że podziękuję za przyjęcie... — mówiąc to już zmierzzał ku drzwiom.

Poderwała się, próbowała zatrzymać, przytuliła się całym ciałem.

— Na to ja, proszę pani, się nie nadaję.

Natychmiast gwałtowna zmiana nastroju, ton lodowaty.

— O czym, smarkaczu, pan myśli?

Trzasnął drzwiami, aż zahuczało w klatce schodowej, opadły z nad framugi płyty tynku. Gęsto spluwając w odrazie, przesakował po kilka stopni.

Następnego dnia złożyła zażalenie w zarządzie spółdzielni, że zachowywał się arogancko, próbował ją napaść. Musiał tłumaczyć się przed prezesem...

Stanowczo lepiej było już znosić węgiel do piwnic.

Ze też to wszystko w domu zdarzyło się w czasie, gdy poważnie się zabrał do studiów, rok zaledwie dzielił go od dyplomu. Korespondencja z rodziną nie należała do ożywionych. Ojciec odzywał się rzadko, matka raczej zsiadała do listu przy jakimś nawrocie sentymentów. Tylko przekazy pieniężne nadchodziły z niezmienną regularnością. Od lat. Wystarczało na więcej niż skromne studenckie życie.

Wtedy przekaz nadszedł z dwutygodniowym opóźnieniem. Zachodził w głowę, co mogło być tego przyczyną, nie chciał się upominać, czekał. Jak zawsze podziękował zdawkowo, nie było nad czym się zastanawiać, najpewniej ojciec przeoczył termin. Następna przesyłka była punktualna, ale opiewała na niższą kwotę. I króciutki, beztroski liścik od ojca, niech sobie jakoś poradzi, chwilowo kłopoty, już idzie znów ku dobru.

Znał rodziców. Nie mogli to być chwilowe kłopoty, ale jakaś prawdziwa klęska. Jeszcze tego samego wieczoru tłukł się pociągami na Suwałki, wyrzucając sobie, że nie uczynił tego w ubiegłym miesiącu. Tamto opóźnienie było wszak niemniej wymowne, niż równiutki rząd literek ojcowskiego pisma.

Widok na miejscu przejął go zgrozą, choć od pożaru minęło już z górą miesiąc. A jeszcze matka poważnie chorowała po ciężkich przeżyciach. Do niego, jak do szczeniaka, słowa nie napisali, przesadna troska. Wzruszony był i pełen rozżalenia zarazem. Jakże tak można.

Susza wisała od wielu tygodni, las się zajął od razu, strzelił żywicznym fajerkierem. Zajął się oddziały drągowin podchodzące rozrostem młodnikom aż po leśnictwo. Ręka boska, szeptała matka, uchroniła budynek mieszkalny. Reszta spłonęła, tyle, że uratowali żywy inwentarz. Diabli nędzi, ojciec zapomniał właśnie o odnowieniu asekuracyjnej polisy, spóźnił się z tym zaledwie o tydzień, wystarczyło, bo właśnie w tym samym tygodniu... Ona przeżyła się przy łowieniu dobytku, może i nerwy pomogły, poddała się chorobie, tak zawsze zahartowana.

Ojciec słuchał, niby bagatelizując uśmiechał się po swojemu, na pewno się z kłopotami poradzi, a już Lukek niech się tym najmniej przejmie, najważniejsze, to studia. Parę miesięcy trudniejszych, potem będzie mu przysłał tyle co zawsze... Mówił tak, uśmiechał się, ale pod oczyma narosły sińce zmęczenia, bezsenne musiały być jego noce, chwilami pojawiał się w twarzy nowy, nieznany grymas. Widział przecież to wszystko, za dobrze znał swoich starych, by nie pojąć, że starają się go pocieszać.

Potygodniu odjeżdżał. Żadnych pieniędzy, odeśle z powrotem. Siary koń, młodzi radzą doskonale, nie trudno studentowi zarobić, korepetycje jakieś, są bogate matoly z kupieckich rodzin, kabzą trzęsą sowicie, byle tylko synaczkowie zyskali dyplom, taki splendor przed całą rodziną i otoczeniem. Do lasu nie muszą iść, jest co przejmować po ojcach, papierek jest ważny...

Gadał tak, choć wiedział, że z pracą wcale niełatwo. Mało to razy sam pomagał kolegom, wegetującym na mizernym stypendium pędzącym na bratniakowe obiady, ciutającym przy okazji zarobku grosik do grosza. Klął też w duchu sam siebie, przyzwyczaił się do łatwego życia, stare chłopsko, a trzymał się ojcowskiego fartuska, teraz spłoszony spogląda w najbliższy czas jakże sobie poradzi! Fantazja, wysana z mlekiem chwac-



Ilustr. — EWA PRUSKA

kość podsuwały znów ławne miraż. Jakoś tam będzie, cała Polska nieraz się opierała na takiej pociesz i w końcu wychodziła z opresji.

Radził. Rzedkami lekcjami, psuł nerwy, z wątpliwym skutkiem włączając jakimś debilom najprostsze prawdy, że pisał się do spółdzielni usługowej, skąd wzywano do wszelkich pomocy przy domu, trzepanie dywanów, gruntowne porządki, bawienie dzieci, jako ośłoda ten czwarty do bridża. Aż to przebrzydło, kochliwe babsko. Za łose, psia krew, studenta się jej zachciało.

Świat, miasto, studia, kółeczko, wszystko to objawiało się z nagłą od nowej często zgola zaskakującej strony. Dla wielu przesłał być towarzyską atrakcją, najszerzej rozpowszechnionym kłumpem. Już nie kolega i nie towarzysz, o! chłystek zwyczajny, jakiegoś tam leśniczego syn.

Jakiegoś tam leśniczego... Tak właśnie to padło. Właściwie należało facetowi dać w mordę, niechby poznał mores, ten arystokrata od łokcia czy metra, łutulek jego handlował drzewem, ciętym potem we własnym łataku, syna pchnął na studia, by lepiej umiał kantować chłopów wysprzeda-ających się z lasu.

Jakiegoś tam leśniczego... Jak mu to wypominano, obniżając od razu w towarzyskiej pozycji. Durnie, ale on większy. Garnął się kiedyś do nich. Choć w końcu może to dobrze, że mu wskazano jego właściwe miejsce. Jakże mówił ten chłopys z Chwaliszewa. Trudkowy amant? My i wy. Wy i my. Coś się teraz zmieniły proporcje, skrzywił uprzedni wizerunek. Chyba było mu to potrzebne. Żeby się tak nie pysznił swoją oficerską posturą, urodę zawiadackiej gęby i jakimś nuworyszowskim tupelem. Znajdź chacie swe miejsce.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Drzewo (technika mieszana)

KAZIMIERZ
STAWIŃSKI

